



JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

SZAŁŁOWIENIA MOTYLI

MŁYNARSKI? ABSOLUTNIE!

Szał łowienia motyli” nie miał być wcale poświęcony wspomnieniom. Ale tak jakoś się ułożyło, najpierw Andrzej Wajda, potem Danuta Szaflarska, teraz Wojciech Młynarski. Kamienie milowe naszej kultury, niezwykle osobowości. Pozostawili puste miejsca, które jeszcze długo nie będą zagospodarowane. Kiedy Danuta Szaflarska przekroczyła setkę, nie tracąc trzeźwości umysłu, mając świetną pamięć, pozwalającą jej nadal występować w teatrze, patrzyłem z nadzieją na Stwórcę, że jednak „w temacie” ludzkiej nieśmiertelności następuje jakiś przełom. I utwierdzałem się w tej nadziei prawie dwa lata. Śmierć Wojciecha Młynarskiego nie była zaskoczeniem, poprzedziła ją długa i ciężka choroba. Ale dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że na stworzenie takiego dorobku, jaki po sobie pozostawił, innym potrzeba byłoby kilku wieków. Jemu wystarczyło zaledwie 75 lat, wyłączając, rzecz jasna, okres niemowlęctwa i dzieciństwa – więc w sumie jeszcze mniej.

Kiedy pod koniec studiów współpracowałem z „Życiem Codziennym” kierowanym przez Marka Przybylika, wszyscy czekaliśmy na maszynopisy przynoszonych na Marszałkowską jego cotygodniowych felietonów zaczynających się słowami: „Mile panie i panowie bardzo mili...”. Młynarski odnosił się w nich do „coraz bardziej otaczającej rzeczywistości”, gromił głupotę, cwaniactwo, kłamstwo i obłudę. Zawsze trafiał w sedno. Tak, miał poczucie własnej wartości, ale też potrafił docenić innych. To przecież dzięki jego tłumaczeniom w czasach PRL-owskiej prozy i szarości odkryliśmy piękno poezji Jacques’a Breła i

wzruszaliśmy się jego poetyckimi wyznaniem miłości w spektaklach przygotowanych przez Młynarskiego w warszawskim Ateneum. Podobnie było z balladami Wysockiego i Okudźawy, które tak pięknie Młynarski nam przysposobił. To on także w Ateneum przypomniął o dorobku długo zakazanego po wojnie Hemara.

Był mistrzem słowa i w tej dziedzinie dane mu było dzierżyć klucz do skarbca skrywającego prawdziwe diamenty. Jako translator utartym zwrotom nadawał jakąś nadzwyczajną rodzimą barwę. Fantastycznie przetłumaczył libretto rock opery „Jesus Christ Superstar”. Muśnięciem geniusza było jednak przetłumaczenie zwrotu „Superstar” jako „Gwiazda Gwiazd”, które pojawiło się w jednej z piosenek.

W 2007 r. Wojciech Młynarski mówił „Rzeczpospolitej”: „Do momentu transformacji wzorcem było przyzwoite zachowanie. Było wiadomo, że się jest przeciwko bezprawiu, totalitaryzmowi, cenzurze. Po upadku komunizmu trzeba się deklarować precyzyjniej”.

To, że jego utwory nie straciły na aktualności, nie zawsze dawało mu satysfakcję. W niedawnej premierze Ateneum „Róbmy swoje” publiczność żywiołowo reagowała m.in. na „Balladę o Dzikim Zachodzie” z 1966 roku, a zwłaszcza jej zakończenie, że „czasami najtrudniej jest rozpoznać bandytę, gdy dokoła są sami szeryfi”. Podobnie było z „Balladą o szachiście”, której bohater w czasie gry zmieniał jej reguły, bo jak twierdził: „nie wytrzymują życia prób”. Poruszające było wołanie samotnego artysty „Nie wycofuj się inteligencjo” w interpretacji Piotra Fronczewskiego.

Dla polepszenia nastroju na zakończenie przypomniano „Róbmy swoje”. Mimo to wychodziło się z sali w minorowym nastroju. Przy drzwiach usłyszałem symptomatyczny dialog. Szacowna recenzentka teatralna zagadnięta przez koleżankę „Zobacz, ilu znajomych na widowni” odparła oschle „Zależy czyich”. I był to doskonały komentarz do prezentowanej kilkanaście minut wcześniej ballady „Gruz do wywózki”, a zwłaszcza jej słów: „Bo liczni dotąd tak wspaniali/ nim zmierzch się zmienił w dzionek blady/ gruz po systemie usypali/ w walczące z sobą barykady...”. Na pytanie więc, czy słuchać Młynarskiego, odpowiedź wydaje się prosta: Absolutnie!

Młynarski lubił rozmawiać o innych artystach. Kiedyś wspomniałem mu o mojej wystawie „W stronę Schulza”, czyli międzypokoleniowym dialogu artystów z fenomenem drohobyckiego twórcy. Stwierdził wtedy: „Myślę, że łatwo było namówić pana do udziału w tym przedsięwzięciu różnych artystów, bo przecież Schulz był geniuszem. A z geniuszem każdy czuje się skoligacony”.

A skoro wspomniałem o Schulzu – małe wyjaśnienie. Na jego cześć postanowiłem opatrzyć swoje felietony tytułem „Szał łowienia motyli”. Chochlik zmienił go jednak na „Szał łapania motyli”. To zresztą nie pierwszy taki zabieg w stosunku do genialnego Brunona. Przed kilkoma laty mój kolega Bartek Marzec pisał o książce Jerzego Ficowskiego „Regiony wielkiej herezji”. W gazecie przeczytał potem „Rejony wielkiej rewii”. Po prostu – jak by powiedział mistrz Młynarski – przyszedł walec i wyrównał, przyszedł walec i wy-ru. ©©